



Wielcy ludzie

Sebastian Klonowicz

— Serwus, Janku! Jak widzę, znów przyszedłeś do mnie. Chyba nie po to, ażeby usłyszeć o kimś sławnym i wielkim?...

— A właśnie po to. I dziś chciałbym usłyszeć coś o Sebastianie Klonowiczu. Bo wiesz, czytałem jego jedną bajeczkę i ciekawi mnie bardzo, co więcej zdziałał ten człowiek.

— O! bardzo chętnie ci opowiem. Wiem o nim coś nie coś. A więc słuchaj uważnie.

— Zamieniam się w słuch. Opowiadaj.

— Otóż Sebastian Klonowicz urodził się w roku 1550 w Sulmierzycach, w Kaliskiem. Należały one wtedy do Wielkopolski, więc i Klonowicz jest Wielkopolaninem. Widzisz, że już dawno się urodził i musi być naprawdę „wielki”, że słuch jeszcze o nim nie zaginął. A wiesz: ojciec jego nazywał się Klon... Tak — klon — był dzierzawcą młyna.

— A gdzie Sebastian uczęszczał do szkół?...

— W Sulmierzycach, a później kształcił się w Akademii Krakowskiej. I... niewiadomo, czy ją skończył, czy nie. Jakiś czas potem był pomocny ojcu w młynie, a później otrzymał posadę pisarza w sądzie w Lublinie. W dowód zaśługu i sumiennie spełnianych obowiązków został obrany z kolei wójtem, burmistrzem i radnym miasta. Tym pozostał do końca życia.

Klonowicz interesował się także dolą chłopca. Jego wrażliwe serce dobrze od-

czuwało potrzeby chłopca. O nim też pisze Klonowicz bardzo pięknie, ze zrozumieniem potrzeb i braków tego człowieka.

— A jaki jest jego stosunek do szlachty i panów?

— Chciał od panów jednego: ażeby uczyli lud i pomagali mu. Poza tym twierdził, że „praca żadna, ani rzemiosło nie hańbi”. Klonowicz był odważny i nie zaważał się o tych błędach napisać książki. Takich ludzi wtedy nie wielu było.

— Jaką reakcję u szlachty ta książka wywołała?

— Oczywiście „oburzenie. W szlachcie odtąd Klonowicz miał wroga. Żył w ciężkich warunkach. Wreszcie przejścia rodzinne po śmierci teścia przyspieszyły jego śmierć. Opuszczony przez żonę i ludzi umarł sam w szpitalu, bez przyjaciół bez kogo bliskiego i współczującego mu. Wtedy ludzie nie ocenili go, lecz dziś zalicza się go do najbardziej zasłużonych pisarzy.

— No, dobrze, ale co jest z tą bajeczką?...

— Widzisz, Klonowicz napisał wiele ciekawych utworów. Niektóre z nich pisał po łacinie, a ty łaciny pewno nie umiesz?...

— Niestety... Ale ja widzę, że to, co ty tu mi mówisz, to potem opisujesz... Jestem ciekaw, czy i innym się podobają te rzeczy i czy chcą ich więcej?...

—Bo ja wiem! Najlepiej poprosić ich ładnie, a może w swoich listach o tym napisać?...

Tadeusz Mański

Kituś zginął

Kituś — to był pies niebylejaki! Mądry, wesoły, śliczny, i wierny. Tak przynajmniej mówiła o nim Ela, której był właściwie własnością, mimo że w domu lubili go wszyscy. Bo jak tu nie lubić psia-ka, który skacze jak na sprężynach, robi pocieszne miny i lypie zabawnie czarnymi, jak szklane duże paciorki, oczkami?

Ale też wszyscy na niego narzekali i... mieli rację, bo Kituś to nie ten spokojny As z naprzeciawka, ani ten potulny Fikusek z góry. Kituś — to żywe srebro, błyskawica, wiatr, i karabin maszynowy w jednej (psiej) osobie. Sam jeden narobił więcej hałasu, niż 10 innych psów i więcej zamieszania niż innych 20. Taki on już był.

Jak wpadł do pokoju — to jakby zawierucha szalała. Rrrrr! rrrrr! spadały wazoniki i filiżanki, jeśli stół był broń Boże nakryty! Tram! tram! przewracały się krzeselka. Ojej! ojej! piszczała Władka, służąca. A Kituś wskakiwał na kanapę, na której siadywała Ela i nuż pchać się żeby ją polizać po twarzy. Awantura!...

Ale jak się na Kitusia było gniewać kiedy później przepraszał, tak pokornie patrzył, tak przymilnie i zdawał się mówić: „Ja przecież nie jestem winien! ja już jestem taki — i co na to zrobię?”

Przebaczano więc Kitusiowi wszystko, narzekano na niego, wymyślano, grożono, że się go odda albo zastrzelą, a Kituś robił swoje.

W ostatnich dniach przechodził wprost samego siebie w psotach i wyrządzanych na prawo i lewo szkodach. Wskoczył nawet do wanny i poszarpał w kąwaleczki nową gąbkę. Zrzucił nawet jakimś cudem portret mamy ze ściany. Wylał gorącą zupę z wazy na ręce Władki i straszliwym szczekaniem i udawaniem groźnego wypłoszył z przedpokoju przyjaciela tatusia, który przyszedł w przejeździe przez Poznań, który już się więcej nie pokazał. A kiedy wskoczył mamie na kolana i wpakował łapę w jej świeżo otwarte pudełko drogiego pudru, stojące przed nią na toaletce — mama straciła w końcu cierpliwość — i uderzyła go. Wcale nie mocno i wcale nie groźnie, ale w każdym razie uderzyła.

Kituś spojrział zdumionymi oczkami, popatrzył chwilę, zeskokczył z kolan i poszedł sobie, zostawiając po sobie ślady apudrowanej łapy.

I już więcej nikt nie widział.

Kituś zginął. Co się z nim stało? może wpadł pod auto, albo pod tramwaj? był przecież taki roztrzepany!...

Ela rozpaczala.

— On się obraził, że mama go uderzyła on przecież chciał się bawić! on nie chciał psościć! trudno, on już taki był! On się napewno obraził!...

Cicho bądź! gdzieby się tam pies obrażał! — huknął tatuś, ale niebardzo pewnym głosem.

Szukano, posyłano, pytano się, da-no ogłoszenie w gazecie... Napróżno, Kituś przepadł.

W domu było cicho i spokojnie. Wszystko stało na swoich miejscach, nie się nie tłukło, ani przewracało, a wszyscy tęsknili do hałasu i zamieszania i chodzili, jak struci.

Aż wreszcie — po tygodniu — ktoś zadzwonił, a kiedy otworzono drzwi — do przedpokoju wpadła zawierucha i z dzikim szczekaniem rzuciła się na Elę. Z bukiem spadł wieszak na ubrania i przewróciło się krzesło.

— Kituś!

Wypadła mama z jadalni, tatuś z gabinetu i Władka z kuchni. Kituś szalał. Odprowadziła go pani do której się przybłąkał i która przeczytała ogłoszenie w gazecie. Zażądała co prawda zapłaty za stuczone wazoniki i podarte swetry i pończochy, ale nikt się tym nie martwił.

Kituś się znalazł! Kituś po dawnemu był niegrzeczny i strasznie kochany.

Józef i Franek

Franek, 10-cio letni chłopczyk o pyzatej twarzy rzekł do Józka w tym samym wieku:

— Józek!

— Hm...

— Pójdiesz na kasztany?

— Ojej!

I poszli.

Opodal kościoła stały stare rozłożyste kasztanowce. Stały rzędem, zwarto jak żołnierze, świecąc tu i owdzie nagimi gałazkami, na których — jak bomby choinkowe — wisiały opuszczone, kolczaste owoce.

Chłopcy zadarli głowy i łapczywie

spoglądali na nie. Józek zaczął powątpiewać...

— Pewno nie dostaniesz — zbyt wysoko!

— Co? nie dostanę?

I... Franek szybko podniósł spory ostry kamień, przegiął się cały, i... jak nie śmigniel!

— O, Jezu... u... u... ktoś przeraźliwie krzyknął i głośnie chipianie zmieszało się z poszumem drzew.

Józek i Franek skamienieli.

To Marysia Zawalniałok tak lamentowała; twarz jej skrwawiona — wykrzywniona z bólu.

Pierwszy oprzytomniał Józek i pędem co miał sił dopadł do Marysi.

Franek natomiast jak wicher gnał ku wsi z wybałuszonymi na wierzch oczyma. Strach go tak ponosił.

Józek wziął delikatnie Marysiną rękę i jął pocieszać:

— Nie płacz, nie chciałem, nie widziałem, żeś tam pod drzewem stała; chodź, pójdziemy do pana nauczyciela, on ci ranę obmyje i zwinie.

I poprowadził ją do szkoły.

W kilka minut potem Marysia obandażowana szła do domu.

Na drugi dzień cała trójka jest w klasie. Marysia uśmiecha się blade do Franka i pyta go o zadaną lekcję z rachun-

ków, czy ma dobrze wykonaną pracę. Bo sama coś nie mogła rozwiązać zadania widocznie ten nieznośny ból głowy przeszkodził jej w pracy.

Franek poczerwieniał cały i płacząc się, zaczyna bezładnie wyjaśniać zadanie, a tu wchodzi pan.

Modlitwa — sprawdzanie obecności uczniów i lekcja rozpoczęta.

Józek coś nie może myśleć. Już go pan dwa razy upomniął za nieuwagę, ale... jak tu uważać, kiedy z Frankiem coś niedobrego się dzieje, z czerwonego staje się blade — to znów twarz w pon-sach cała.

Widzi to pan, więc pyta:

— Co tobie, Franku?

A Franek w bek!

— To ja, proszę pana zranilem Marysię, a nie Józek, i... i... taki tchórz jestem!

Przez chwilę w klasie było cicho tak, że słychać było miarowe uderzenie zegara, potem zawrzało jak w ulu.

W chaosie tym Marysia pociągnęła Franka za rękaw i upominała:

— Głupiś, czego beczysz? Już mnie przecież nie boli...

I Franek przez łzy i Józek czerwony jak burak i Marysia — spojrzeli sobie w oczy, uśmiechnęli się.

„Rys“

Poszedł Miś do szkoły

— Misiu, — mówi mama —

po borze się włoczył!

Co z ciebie wyrośnie,

kiedy się nie uczysz!

Wziął Miś miodu dzbanek,

wesoło się śmieje.

— Pójdę ja do szkoły,

od razu zmadrzeję.

A przed szkołą stały

dzieci — same chwaty.

— Witaj, — zawołały —

zwierzaczku kudłaty!

Łyknał Misio miodu,

grzecznie w ławce siedzi.

Wielką łapetynę

nad książeczką biedzi.

Czyta, czyta, sapie,

aż i sen go zmorzył.

I na burej łapie

bury łeb położył.

Więc pan nauczyciel

zbudził wreszcie Misia:

— Pewno się na lekcji

przemęczyłeś dzisiaj?...

Z wstydu nieboraczek

schował nosek w futrze.

— Poprawię się — płaczę —

jutro lub pojutrze.

Poprawże się, Misiu,

poprawże się zaraz.

Jak się nie poprawisz,

to będzie ambaras.

J e s i e ń

Czy widziałeś czajki nad ugorem
długim kluczem za morza lecące?

Czy słyszałeś ich krzyki wieczorem,
gdy nad staw nasz opadały śpiące?

Czy widziałeś liście kolorowe
co dywanem drogę nam przykryły,
i spadają coraz nowe... nowe...
pod swe drzewa z roznaczy, bez siły?

Czy widziałeś rankiem na ściernisku
taką zwiewną postać, co plakała?

co, szukając daleko i blisko
pajęczyny nitki rozsnuwiała?

Srebrne nici ciągnęła po ziemi,
aż z przed oczu znikła mi gdzieś w
lesie,

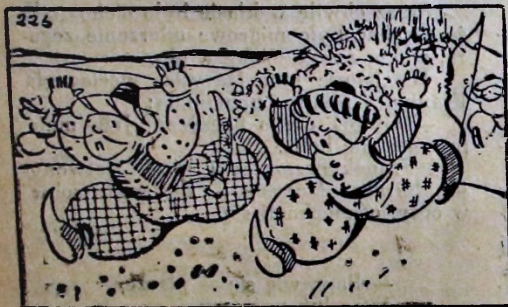
cała mgłami okryta szarymi.

Czy wiesz, dziecko, że to była Jesień?

Hania Kamińska



...a gdy z winka szumem smęt odleci
wszelki,
zaświtają w głowach studenckie figielki
Pyzo! Zaśpiewajmy brzękając kufłami:
O, królu Stefanie! Opiekuj się nami!



„Nasz Stefan Batory wielki —
gromił Turki i Tatory.
Nie nosił on kamizelki
tylko kontusz i czamary!”



Poloneza grajcie, studenci muzycy!
Pójdziem polonezem przez Wilna ulice.
A na czele Pyza z wdzięcznym przykła-
naniem.
ze studentem w parze. Patrzcie się
Wilnianie.

Jak Pyza



Stają wszyscy ludzie: — Patrzcie,
patrzcie, młodzi,
jak ta pierwsza para poloneza wodzi —
A muzyka huczy, aż się burza dusze!
Wartoby tę parę ustoić w kont-szel

Józek

— Józek Gapa! Gapa! Patrzy jak wół
na malowane wrotal — wołały dzieciaki
wiejskie pokazując umorusanymi palcami
jedenaścieletniego chłopaka, zapatrzzonego
w niebo.

Józek był sierotą. Nikt się nim nie
opiekał i nikt nie wiedział gdzie mieszka.
Był on bardzo dobrym chłopcem.
Jedyną jego wadą była „gapiowatość”.
Stał czasem zapatrzony godzinami w jedno
miejsce, zapominając o bożym świecie.

I dziś tak samo stał Józek Gapa na pa-
górkę przy torze kolejowym i patrzył w
jedno miejsce, które przykuło jego wzrok.
Na zakręcie toru, na szynach leżał wielki
kamień, który położył pewnie jakiś psot-
nik. Nagle Józek usłyszał w dali szum jak-
iś i zobaczywszy unoszący się w górze
dym, domyślił się, że to nadchodzi po-
ciąg.

Józek wiedział, że nie ma chwili do
stracenia. Chciał biec na stację, lecz by-
łoby to już za późno. Pośpieszył więc na
miejsce, gdzie leżał kamień i próbował
go zrzucić z toru. Szło mu to bardzo trud-
no, bo kamień był wielki. Mocował się z
nim oblewając się potem rześkim, a
w uszach dzwonił mu szum i gwizd nad-

wędrowała



Gra pięknie kapela. Studenci, wilnianki wszyscy w poloneza idą składne szranki Huczą miastem dźwięki. Idą miastem chóry i bucha polonez:

„Nasz Stefan Batory”...



Polonez się wije pomiędzy wzgórzami,
doszedł pod Antokol błyszczący wieżami
A że czasu wiele trwał ten piękny taniec—
każdy stamtąd poszedł na drugie

śniadanie.

Gapa

jeżdżającego pociągu. Zebrał wszystkie siły i zepchnął wielki kamień do rowu, a sam z wycieńczenia stracił przytomność.

Obudził się w jasnym pokoju i zobaczył, że leży w wygodnym łóżku. Przy nim siedziała piękna pani, która gładziła jego płową czuprynę.

— Gdzie jestem? — zapytał zdziwiony.

— U ludzi którym uratowałeś życie, drogi chłopcze — odpowiedziała piękna pani. — W pamiętny dzień jechaliśmy pociągiem z pogrzebu naszego synka. Jadąc zauważyliśmy, że maszynista zwalnia bieg pociągu. Zdziwiło nas to bardzo i kiedy pociąg stanął zobaczyliśmy jak wyciągnięto ciebie zemdłonego z pomiędzy szyn. Przy torze leżał wielki kamień, który go ty odwaliliś. Maszynista widział to, dlatego ja i mój mąż postanowiliśmy ciebie, który uratowałeś nam życie wziąć do siebie za syna. Więć prosimy, kochaj nas jak rodziców i bądź nam dobrzym synem!

— Jaki ja jestem szczęśliwy! wszeptał Józek i zapatrzył się w okno. gdzie na jasnym niebie świeciło złote słońko.



Pyza zaś ruszyła z miasta rozmarzona,
tańcami i śpiewem, pieśnią upojona.
Poloneza krokiem, z dźwiękiem basów w uszach
idzie, niby chwając wylotem kontusza.



Po upalnym niebie płyną ciężkie chmury
pociemniały lasy i ponarskie góry.
Wśród borowych gwarów, borowych
zapachów
Idzie nasza Pyza ścieżyną na zachód.
Od Wilna do Grodna — to daleka droga,
lecz wędruje Pyza, choć sapie nieboga.

O Skrzaciku — Wędrowniczku



Skrzacik zrozumiał jedno, że tu szykuje się jakaś zbrodnia. Trzeba coś porządzić, trzeba ratować stryjów Pepelka. Po wystającej belce zsunął się na ziemię i szybko zbliżył się do szop. Przez uchylone drzwi zajrzał do wnętrza stajni, a nie widząc tam nikogo wszedł do środka. Stało w niej dużo koni uwiązanych przy długich żłobach. Przy ścianie na ławie leżało trochę słomy przykrytej odzieżą. Krzyki i tupot zbliżających się ludzi zmusiły Skrzacika do szukania schronienia. Wskoczył na ławę i wcisnął się do kieszeni leżącej tam kapoty. Do stajni weszło kilku ludzi.

— Dokąd jedziemy? — zapytał jeden z nich.

— Do Miłosza — odpowiedział drugi — odwieziem mu syna, ślepego Leszka. Jutro o świtaniu wyrusza Bożywój pokłonić się stryjom naszego knezia i na ucztę ich prosić.

— Złe się dzieje z naszym kneziem — odparł pierwszy — musi być z nim krucho, skoro pomocy stryjów potrzebuje,

— Prędko na koń! — zawałał chłopak wpadając do stajni. — Kneźna ruszać każe.

Chłopcy śpiesznie wyprowadzili konie. Jeden z nich chwycił kapotę leżącą na posłaniu i wziął ją szybko. Skrzacik siedział cicho na dnie przepastnej kieszeni. Wspomniawszy okrutny śmiech Brünhildy i szepnął zadowolony:

— Nie uda ci się twoja zbrodnia zła, przewrotna kobieto. Mały Skrzacik uratuje życie stryjom knezia Pepelka.

Po chwili zajęchali przed ganek, na którym Brünhilda w otoczeniu dwórek żegnała Leszka.

— Staremu Miłoszowi powiedz — rzekła — żeśmy nie winni twojego kalectwa. Zły sługa nie zrozumiał naszego rozkazu. Miał cię tylko uwięzić — mówiła obłudnie.

Leszek słuchał w milczeniu.

— Powiesz to ojcu? — pytała.

— Wszystko mu opowiem — ponuro odpowiedział Leszek.

Dwóch z czeladzi wsadziło ślepego na koń i orszak szybko ruszył w drogę.

(DCN)



Jesiennie dary!

Iż panuje jesień, piękna swą czerwonią,
Na drzewach jabłuszka mile się rumienia.
A tam dalej śliwy ciemno-granatowe
I gruszki soczyste, zielono-różowe,
Jaś pod drzewem stoi, ślinka do ust leci...
Czemu to jabłuszko do mnie nie przyleci?
Czemu tak wysoko obrało mieszkanie?

Zeby choć tak jedno — dzisiaj na śniadanie!
Wiatr jakby mu sprzyjał, zatrząsał konarami
I obsypał Jaśka, krągłymi jabłkami,

Marlena Sońska



DZIAŁ ROZRYWEK

Nr. 11

KRZYŻÓWKA

(5 punktów)

W kratki należy wstawić odpowiednie litery, które utworzą w rzędach poziomych, bądź pionowych wyrazy o podanym znaczeniu: w kwadracie w czwartym rzędzie należy wstawić liczbę 31, a w siódmym (od lewej strony) kwadracie ósmego rzędu od góry wstawić liczbę 32.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1) Nazwa jednej z kart do gry. 2) Nuta, 3) Bóg egipski, 5) Szarża podoficerska, 10) Rzeka w Polsce, 15) Rzeka na Syberii, 15) Zaimek, 16) Śpiew słowika, 18) Inaczej podstawa, 19) Zaimek, 20) Zaimek, 21) Papuga, 23) Inaczej: niedobry.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1) Imię żeńskie, zdrobniałe, 4) Artysta sceniczny, 31) Upominek, 6) Rzeka we Włoszech, 7) Miara powierzchni, 8) Fachowiec w dziedzinie medycyny, 9) Plac tenisowy, 11) Wykrzyknik, 12) Zaimek, 14) Miejscowość, słynna zwycięstwem Napoleona nad Prusakami w 1806 r., 32) Imię żeńskie, cygańskie, 17) Nuta, 18) Wykrzyknik, wyrażający zdziwienie, 22) Piasek rzeczny, 23) Przyjaciel Mickiewicza z czasów studenckich, 24) „Tak” po angielsku, 26) Utwór poetycki, 27) Gniazdo pszczoł, 28) Biblijny ogród, 29) Rodzaj głosu



Nr. 12

PRZYPOMNIJMY SOBIE

(2 punkty)

1) Kto był wodzem polskim, który odniósł wiekopomne zwycięstwo nad Szwedami pod Kircholmem? 2) Kim był Artur Grottger? 3) Czym dziełem jest powieść z zarania dziejów Polski pod tytułem „Stara Baśń”? 4) Kto namalował wielki obraz historyczny, przedstawiający bitwę pod Grunwaldem? 5) W którym roku miała miejsce bitwa pod Raclawicami?

Nr. 13

WACHLARZ SŁÓW

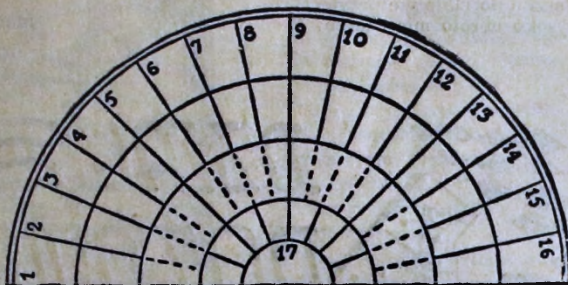
(4 punkty)

Wachlarz tworzy szesnaście słów pięcioliterowych. Wyrazy czyta się od

zewnątrznego brzegu wachlarza do środka. Litera ostatnia w polu oznaczonym liczbą 17, jest wspólną dla wszystkich wyrazów. Nadto każde cztery wyrazy mają wspólną trzecią literę, a każda para — wspólną czwartą literę.

Znaczenie wyrazów: 1. Bogini łowiec-
twa, 2. Płyn na powierzchni piwa, 3.
Miasto na Śląsku Cieszyńskim, 4. Wielki

glaz, 5. Inaczej: brama, wjazd do zagro-
dy, 6. Jaskinia skalna, 7. Angielska miara
długości, 8. Budynek drewniany bez okien,
9. Część Warszawy, położona na prawym
brzegu Wisły, 10. Samochwalstwo, okła-
mywanie, 11. Inaczej: strój, 12. Imię żeń-
skie, 13. Ustawy obowiązujące, 14. Ina-
czej: mara, przywidzenie, 15. Czasopiś-
miennictwo, 16. Inaczej: uroda.



Nr. 14
ZADANIE KOŁOWROTKOWE
(4 punkty)

W pola figury należy wpisać odpowied-
nie litery, które czytane od zewnątrz do
środku, utworzą 18 wyrazów o podanym
znaczeniu. Litery na miejscach liczb od 1
do 18 utworzą dwa wyrazy dające rozwią-
zanie.

Znaczenie wyrazów: 1—19 stolica Fran-
cji, 2—20 silny wiatr, 3—21 jodła kar-
packa, 4—22 drzewo pospolite w Polsce,

5—23 rzeka w Polsce, prawy dopływ War-
ty, 6—24 główna rzeka w Indiach, 7—25
mieszkańcy półwyspu arabskiego,
8—26 inaczej jutrzeńka, świat, 9—27
imię męskie, 10—28 jaskinia w ska-
le, 11—29 mieszkaniac państwa, sąsiadu-
jącego z Polską, 12—30 stolica Grecji,
13—31 rzeka w Polsce, dopływ Bugu,
14—32 kraj w Azji, 15—33 miasto w Pol-
sce (woj. lubelskie), 16—34 zwierzę afry-
kańskie o skórze przegowatej, 17—35 mi-
asto w Wielkopolsce, 18—36 pasmo górskie
w północnej Afryce.

